



Rok II.

1868.

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.”

rocznie	8 zlr. — ct.
półrocznie	4 „ — „
ćwierćrocznie	2 „ — „
Pojedynczy numer	— „ 20 „

Nr. 7.
16. Lutego.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową

rocznie	8 zlr. 50 ct
półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ 20 „
W w. ks. Poznańskim ćwierćrocznie	1 tal. 15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie	6 franków.

Karol Libelt.

W dawniejszych dziejach Polski bywało to rzeczą bardzo zwyczajną napotykać w życiu publicznym mężów, którzy zaczynali swój zawód od służby wojskowej w młodości, dojrzały wiek trawili w posługach obywatelskich na przemian z wojskowymi — a dopiero w późnej dobie życia oddawali się spokojniejszemu działaniu w gospodarstwie, przyczem nie jeden począł w tych późnych latach oddawać się pracy piśmienniczej i to nieraz ze świetnym nawet sukcessem.

Wynikało to ze stosunków politycznych i społecznych kraju, które powoływały każdego obywatela, choć przeważnie tylko szlachtę, do udziału w życiu publicznym. Podobny stosunek bywał i w Rzymie, gdzie służba wojenna, później służba w radzie lub zarządzie, a w końcu oddanie się spokojnej pracy pióra albo lemişa stanowiły trzy główne pory życia każdego męża publicznego.

Przy zupełnie odmiennych stosunkach politycznych bywa jednakże dziwną losów koleją, taki sam prawie przebieg żywota mężów publicznych w dzisiejszej Polsce.

Służba wojskowa, dalej publiczna a zarazem albo praca piórem, albo lemişem, oto treść żywota synów Polski porozbiorowej.

Lecz jakże wielką jest różnica w sposobach jakimi odbywa się od wieku blisko ten wielki [pochód mężów publicznych na drodze sławy i zasług narodowych? jakże odmienne są jego skutki.

Każdy wojownik za Ojczyznę uważany za buntownika, praca obywatelska odbywała się w spiskach, praca piśmiennicza wystawiała



Dr. Karol Libelt.

na prześladowanie, nawet praca na roli lub w przemyśle doznawała rozlicznych ścieśnień i przeszkód.

Taką drogą wspólną prawie wszystkim znamienitszym mężom porozbiorowej Polski poszedł i Karol Libelt.

Urodził on się w czasie kiedy Polska ludzona przez dwóch mocarzów świetnymi widokami: przez Napoleona z jednej, Alexandra z drugiej strony, budowała wielkie nadzieje to na legionach swoich, to znówu na przyrzeczeniach cara — było to w r. 1807.

Libelt należał więc do tego pokolenia, które żywiło serca swoje w dzieciństwie gorzkimi zawodami legionów, a później zdradzania ufności położonej w chytrym carze. Dorósł, zmędział i skończył był właśnie z wielkimi sukcesami nauki, kiedy w r. 1830 powołał drugie po legionistach pokolenie na pole walki.

Był on już wtedy niepoślednio odznaczonym w zawodzie naukowym. Na uniwersytecie berlińskim, gdzie młodzież poznańska musiała kończyć swoje naukowe wykształcenie, została uwieczniona jego rozprawa filozoficzna (de Pantheismo) i tam pozyskawszy stopień doktora, szukał jeszcze obszerniejszego pola kształcenia się w Paryżu w r. 1829.

Hasło wojny za wolność Ojczyzny powołało młodego uczonego wraz z wieloma innymi do wojska powstańczego. Doktor filozofii władał snąc równie dobrze działem (bo służył w artylerji) jak piórem — został oficerem i pozyskał krzyż *Virtuti militari* w r. 1831.

Z ostatnimi ustępującymi powrócił on do zagrody domowej.

Dla byłego oficera powstańczego były pod pruskim rządem wszystkie drogi zamknięte — niepozostawało nic jak wybrać to dawne godło polskiego wojownika, gdy wrócił do zacisza domowego —

lemiesz- Libelt gospodarował na wsi i przez lat dziesięć pozostawał on zapewne nie w bezczynnym, ale też i niedobrowolnym oddaleniu od wszelkiej działalności publicznej.

W r. 1839 ożywił się ruch literacki w Poznańskim i kraina ta stała się była nawet na czas niejaki ogniskiem życia umysłowego dla wszystkich ziem polskich. Wychodziły tam oprócz Przyjaciela Ludu pisma niepośledniej wartości literackiej jak: Tygodnik Literacki, Orędownik i Dziennik Domowy.

Podobnie jak na pole walki pospieszył Libelt w młodszym wieku swoim z dalekich stron, aby spłacić dług Ojczyźnie, tak i teraz ujrzelśmy go natychmiast, gdy się otworzyło pole do pracy umysłowej a także i walki, ujrzelśmy go na placu walki zbrojnego obszernym zasobem wiedzy, głębokością myśli i logiczną jasnością wykładu. Zrazu, jak każdemu niemal zpracującym na polu umiejętności Polakowi z młodszego pokolenia, dawał się uczuć wpływ obczyzny, którą nas karmiono w szkołach. Wpływ ten wszakże nie stłumił swobodnego rozwoju myśli, objawiał on się tylko w stylu, w początkowych pracach. Niedługo wszakże umiała sobie niezależna i mężna myśl, jak nieuległa wpływowi obcych systematów naukowych, tak i w wysławianiu zrobić sobie własne tory i stał się Libelt istotnie jednym z wzorowych pisarzy w zawodzie naukowym tak pod względem osnowy, jak sposobu wykładania i wysłowienia.

Dziennik Domowy zostawał prawie wyłącznie pod kierunkiem Libelta — później był on redaktorem pisma zeszytowego pod tytułem Rok. Pismo to było nie tylko w owym czasie najcenniejszym między pismami polskimi, ale jest i dzisiaj jeszcze niepospolitym zasobem nauki dla młodszego pokolenia pisarzy, zwłaszcza w naukach społecznych; znaleźć tam można wiele spraw dotkniętych i trafnie rozbranych, które nam się obecnie wydają nowe.

Że z tem zajęciem piśmienniczym było połączone jeszcze inne, jedyne jakie Polakom wtedy otworem stało, gdy kto chciał służyć obywatelskie nieść swojej Ojczyźnie, tego dowodem najlepszym było uwięzienie Libelta w r. 1846.

Należał on do 251 oskarżonych, którym rząd Pruski wytoczył proces o zdradę kraju równocześnie, gdy Galicję zalala krew i pożoga.

Ocenienie pisma Rok pod względem politycznym i jego ważności znajdujemy najlepsze w „Oskarżeniu prokuratora królewskiego w procesie z r. 1846“, twierdzi on: że pismo Rok wydawane przez doktora Libelta „upowszechniało zasady demokratyczne otwarcie, chociaż z wielkiem umiarkowaniem.“

Libelt odgrywał w spisku owym ważną rolę i był on wskazany przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego jako jeden z członków rządu rewolucyjnego, którego organizację poruczono Mierosławskiemu.

Prokurator zarzucał Libeltowi między innymi „zbrodniami“ że od r. 1843 wysłał 5 do 6000 talarów ze składek do Wersalu, na potrzeby emigracji w celach podniesienia powstania. Następnie w r. 1845 został Libelt wybrany do komitetu naczelnego, do którego wchodził prócz niego Guttry, Kosiński, Essman Wiesiołowski (Franciszek) i Mierosławski.

Gdy już sprzysiężeni naglili do wybuchu w r. 1846, użył Libelta Mierosławski do nader trudnej misji przewiezienia znacznej summy do Francji, na sprowadzenie oficerów z emigracji i przysłanie 1000 egzemplarzy regulaminu.

Gdy przyszło do utworzenia Rządu Narodowego z siedzibą w Krakowie wybrali sprzysiężeni poznańscy Libelta członkiem tegoż. Podobnie znowu padł wybór na niego w Krakowie przy wyborze członków Rządu Narodowego d. 18 Stycznia 1846 przez obecnych tamże pełnomocników z Galicji i Krakowa pod przewodnictwem Mierosławskiego. Miał on w tym rządzie zasiadać razem z Alcyato, Wiesiołowskim i Gorzkowskim. Skład tego rządu zmienił się przy wprowadzeniu go w życie, jednak Libelt choć nieobecny w Krakowie nie był bezczynnym. Jemu przypisywano autorstwo proklamacji, z którą Alcyato wyjechał do Krakowa i gdzie miała być wydana w imieniu Rządu.

Przy zasądzeniu został Libelt policzony do pierwszej klasy zbrodniarzy t. j. głównych sprawców, których było jedynastu; 8 było skazanych na utratę wszelkich praw obywatelskich, konfiskatę majątku i „ucięcie głowy toporem“, Libelt należał do trzech łaskawiej osądzonych i miał między temi jeszcze najłagodniejszy wyrok bo tylko na 20 lat aresztu w fortecy i utratę kokardy; podczas gdy tamtych skazano na 25 lat fortecy. Byłoby nawet lżejsza kara niż większa część więźniów drugiej klasy (wspólników) spotkała, między którymi było dwudziestu i trzech skazanych na wieczny areszt w fortecy. Odsiadywał on swoje więzienie z początku w Poznaniu, później w Sonnenbergu, w końcu w Moabit, więzieniu położonem koło Berlina. W więzieniu napisał Dziewicę Orleańską.

Rok 1848 otworzył więzienia i w Berlinie. Król kapitulował na chwilę, powołał do ministerjum Arnima, którego opinia miała za człowieka wolnomyślnego i dnia 19, marca było zwycięstwo ducha wieku dokonane w Berlinie jak w Paryżu jak w Wiedniu, Rzymie, Neapolu, Turynie słowem w całej Europie aż po granice mongolskiej władzy na wschodzie północnym i południowym.

Wyśmiewana tylokrotnie, nawet przez rodaków, władza moralna polskiej narodowości objawiła się w tej chwili silniej niż kiedykolwiek. Niedługo potem dowiódł, iż jak chrystusowa wiara była dla maluczkich i z początku tylko przez nich wyznawana, tak też i żywotność Polski uczuwają i podnoszą zawsze maluczcy — lud uliczny. To samo stało się w Berlinie. Prośba Polaków bawiących podówczas w Berlinie o uwolnienie więźniów politycznych została popartą demonstracjami ludu berlińskiego znamionującymi wybuch długo tłumionego zapalu. Polacy wysłali deputację do ministra Arnima aby wyjednał u króla amnestję dla Polaków więzionych w Moabit.

Co to znaczą wzburzone fale ruchu ludowego!

Sprawa która w każdym innym razie, przy najkorzystniejszym obrocie rzeczy, byłaby trwała rok albo więcej nimby minister jeden z drugim się porozumiał najpierwej o polityczne i jurydyczne powody za lub przeciw amnestji, nimby potem od władz podrzędnych, politycznych, policyjnych, sądowych, nadeszły zdania o każdym z uwięzionych z osobna: czy i jak dalece każdy z nich zasługuje na ten ogromny akt łaski, czy stosunki krajowe i miejscowe na to pozwalają? — nareszcie jeszcze założyłoby ministerjum spraw zagranicznych swoje veto, dopóki się nieporozumiało z dworami interesowanymi o wypuszczenie na wolność osób tak niebezpiecznych.

Teraz w przeciągu nie wielu godzin była amnestja zatwierdzoną. Lud berliński z największym zapalem ruszył ku więzieniu Moabit, jak niegdyś ku wracającemu z francuskiej wojny królowi i w takim samym, a może większym jeszcze tryumfie jak niegdyś wojska, co zwyciężyły Napoleona, wprowadzał wtedy do Berlina Mierosławskiego i Libelta wraz z dwiema kobietami i dziećmi, które były właśnie u nich w odwiedzinach podczas ogłoszenia amnestji.

Przyprowadził ich przed pałac królewski wśród ciągłych okrzyków: „Niech żyje Polska!“

Należy to podnieść dziś niestety na zawstyżenie reprezentantów tego samego ludu, którzy odmawiają polskiej narodowości jej praw przyrodzonych. Ten sam lud w którego imieniu dzisiaj grzebią polską narodowość, wołał wtedy zaprowadziwszy w tryumfie Libelta i Mierosławskiego przed pałac królewski:

„Friedrich Wilhelm 'raus!“

tak długo, dopóki król nie wyszedł, razem z ministrem Arnimem a odkrywszy głowę nie odpowiedział z ganku ludowi, wtórując jego okrzykom: „Niech żyje Polska.“

Libelt do ludu po niemiecku, Mierosławski po francusku, jak pisze Moraczewski: „niewątpliwie najwymowniejsi z całego narodu polskiego, zabrali głosy o braterstwie narodów i niepodległości Polski, tak do ludu na ulicy, jak w uniwersytecie do młodzieży.“

(D. n.)

Chwila z życia akademików polskich w Petersburgu.

(Wyjątek z teki)

napisał

M. Dzikowski.

(Ciąg dalszy.)

— Ale dajcież pokój, przerwał pojednawczo Perytus, eni się gotowi jeszcze pokłócić i popsuć nam wszystko.

— Precz z osobistościami! zakrzyczało kilka głosów razem. Precz z osobistościami!..

Proszę o głos! zawołał gospodarz. We wszystkim należy trzymać porządek — nie prawda?..

Nie prawda — protestuję, odezwał się ktoś z drugiego rogu stoła — protestuję! Taka harmonja jest najpiękniejsza, która się rodzi sama, bez żadnego obmyślonego porządku... A zatem bez żadnego namysłu zaczynam szereg toastów... Protestujący schwylił kieliszek, podniósł do góry i donośnym głosem zaintonował:

Precz — precz smutek wszelki,
Zapał fajki — staw butelki —
Niech wesoło z przyjaciółmi
Słodko splywa czas!..
Pijmy zdrowie Mićkiewicza,
On nam słodkich chwil użycza —
Koi troski — nektar boski —
Jego lutni dźwięk!..

Niech żyje Mićkiewicz! Podniesione kieliszki puknęły, że na dnie, ani kropli nie zostało...

Piosnka płynęła dalej:

Gdy pocziwość jest uznana,
Któż pocziwszy jest nad Zana,
Więc panowie — jego zdrowie —
Wiwat Tomasz Zan!..

Wiwat Tomasz Zan! zagrzmiął chórem młodzieńcze piersi...

Gdy uwielbień godna cnota,
Któż godniejszy od Czczota,
Więc panowie jego zdrowie —
Wiwat Czczot Jan!

Wiwat Czczot Jan! Powtórzyli wszyscy...

Hej! Koledzy w górę szklanki,
Każdy zdrowie swej kochanki —
Biedne chłopcy, którym obcy,
Jest miłości wdzięk!..

Zdrowie kochanek! Zdrowie kochanek! Wołano zewsząd — Niech żyją nasze czarno-oka, czarno-brewa — niech żyją złoto-włose i wszystkie, które tęsknią za nami. — Niech żyją! Młodzież namiętnie przycisnęła kieliszki do ust, jakby wyssać z nich chciała życiodajne krople miłości...

Ale ba', kłedy ja nie mam kochanki — zakrzyczał ktoś gwałtownie z kąta...

To różnij kieliszek o ziemię i napij się rumianku — odpowiedziano stanowczo z kanapy...

Szkoda, zauważył pierwszy. Cóż mam robić — będę pił - - nie tyle mi bowiem chodzi o kochankę, ile o wino, bo dobre...

Po wypróżnieniu kielicha miłości, biesiadnicy opuściwszy ręce na stół, razem, zgodnie, przeciągle — smutno kończyli zaczęłą piosnkę:

A gdy fajki wypalone,
I butelki wypróżnione:
Trudna rada — spać wypada,
Głowy ciężą nam...

Zaledwie przebrzmiały ostatnie wyrazy, nagle rozpychając wszystkich wypada na środek rozgorączkowany brunet. Długie włosy w nieładzie piętrzyły się na głowie. Prawą rękę wyciągnął przed siebie z napełnionym po same brzegi kielichem, lewą położył na piersiach i obracając głowę na wszystkie strony, zaśpiewał na nutę poprzednich zwrotek, niby głosem prośby, ale stanowczo i dobitnie:

Ależ zaczekajcie proszę,

Jeszcze jedno zdrowie wnoszę,

W górę czasze — zdrowie wasze —

Wiwat mnie i Wam!..

Brawo! Wiwat! powtarzano chórem — Brawo! Wiwat — kochajmy się! Nie dajmy się! Zgińmy wreszcie, ale razem — ramię do ramienia!..

Uciszyło się.

Moi panowie, zabrał znowu głos ów nieszczęśliwy na polu miłości młodzieniec, niechciałem Wam przeszkadzać czekałem końca, jednak pozwólcie, że tak ostrego wyroku, abym rznął kieliszek o ziemię i napił się rumianku, dlatego tylko, że nie mam kochanki, przyjąć w żaden sposób nie mogę, bo jeżeli mam prawdę powiedzieć, ciągnął dalej zartobliwie młody człowiek — to nie mając nigdy zamiaru żenić się, tem sam nie staram się i nie mogę mieć kochanki..

E, ślimak jesteś, zauważył ktoś z kąta...

Dla czego?

O, dla czego, co ja ci tam będę dowodził — jak ci trzech mówi, żeś pijany, to idź spać i koniec...

Za pozwoleniem — to potrzebuje wyjaśnienia...

— E, skończcie już raz tę naiwną dySSERTację o miłości, odezwał się ktoś z pod okna. Co on tam będzie gadał o kochance — nie potrzebujesz się tak drożyć ze swoją osobą, prawdopodobnie żadna cię nie weźmie, bo to ani z mięsa, ani z pierza... Boże — zmiłuj się, komu to tu gadać...

— A to mnie zdefiniował — niechże go diabli wezmą, zauważył nieprzyjaciół małżeństwa, nieco zakłopotany.

W miarę znikania butelek, wesołość wzrastała coraz bardziej. Gwar był tak wielki, że tylko biesiadujący mogli się rozumieć, ale gdyby, kto obcy wszedł między rozochoconą gromadkę młodych i niczem nie krępiących się ludzi, potrzebowałby niezawodnie dość długiego czasu, aby przyjść do siebie i zdać sobie sprawę gdzie i między czem się znajduje...

Panowie! odezwał się potężnym, tubalnym głosem ów wygodniś, któremu źle było siedzieć na płaszczach. Panowie! Proszę o głos!.. Prośba była w tak dosadny i przekonujący sposób wygłoszona, że wszyscy się uciszli.

Za pozwoleniem, przerwał milczenie jakiś młody brunet — według ogólnie przyjętej zasady, każda prośba się przyjmuje. Szanowny nasz kolega prosi o głos — ja jednak wnoszę, aby mu wręcz odmówiono, bo kto w tak okropny sposób wrzeszczy, ten już i tak ma go za wiele. Skończyłem...

— No, to ja teraz będę mówił, rzekł bez ceremonii pierwszy. Mniejsza tam o to, co przed chwilą gadałeś — *verba volant*, czy jak tam, bo jako matematyk, po łacinie dobrze nie umiem. Ja panowie, chciałem wnieść także jedno zdrowie — proszę uważać, że powiedziałem wierszami, a zatem jako natchniony do was przemawiam... Nie wdając się zatem w długą przedmowę, którą nawiasowo powiedziałem, zawsze zwykłem opuszczać, jeżeli czytam jaką książkę — wnoszę zdrowie naszych sybirskich kolegów, co z pośród nas zabrani marznąć tam gdzie muszą... Nie wyłączam tu i Rosjan, bo to, jeżeli nie jedyne, to przynajmniej dzisiaj stosowne miejsce, gdzie ręka tak nazwanego „dumnego Lacha“, z całą szczerością i przyjaźnią uściskać może dłoń moskiewską...

Zdrowie więc sybiraków!

— Zdrowie sybiraków! zawtórowało kilkadziesiąt piersi i postawiono próżne kieliszki na stole...

Uczta przechodziła w stadium co raz gwałtowniejsze. Życie tryskało z oczów każdego biesiadnika. Wino rozwiązało usta, otworzyło serca — wszystko tam było jak na dłoni... Młode i rozgrzane piersi, gotoweby były do walki stanąć z całym światem...

— Panowie, huknął znowu ostatni mówca — to jest okropność, wy nic nie widzicie, co się dzieje, a horrendum!..

— Ale cóż takiego zapytali prawie wszyscy...

— Horrendum? — powtórzył pierwszy — a toż ten filolog oszukuje nas wszystkich — nic nie pije; albo wylewa w kąt wino, albo

wcale nie daje do nalewania. Ja wnoszę, aby mu za karę kazać wypić od razu ze trzy butelki...

— Ale za pozwoleniem, odezwał się doń słabym głosem suchy, wychudły blondyn — za pozwoleniem ciągnął litewskim akcentem — ja nie mogę pić, ja słaby...

— Co to słaby, co to nie mogę, jabym truciznę wypił.

— Proszę cię, uniewinniał się Litwin, nie można nikogo przymuszać...

— Zobaczmy...

I nie zważając na nic, przyskoczył do zafrasowanego filologa, trzymając dwie butelki w rękach, a jedną pod pachą.

— Masz, pij, od razu butelką, to prędzej będzie — inaczej...

— Słowo honoru daje, nie będę pił, odrzekł stanowczo napadnięty...

— Nie będziesz...

— Nie będę.

A niechże cię... czekaj...

Postawił butelki, schwycił talerz z masłem i podnosząc go Litwinowi, zawołał z udaną gwałtownością:

— Jeżeli nie chcesz pić, to zjedz to masło...

— Czyś ty zwarjował, mój kochany.

— Kto, ja zwarjował, a to mi się podoba.

— No, kto komu każe zjadać talerz masła, to chyba musi być warjat, jak mi Bóg miły, zapieczętował ostatecznie z właściwą Litwinom flegmą i przeciąganiem.

— Wiecie panowie, że Pašek miał rację kiedy pisał o Litwinach, że są mizerne stworzenia. A przypominasz sobie ten wiersz:

„Toć boćwiny nie jadłem —
jeść jej się nie godzi,
Widzę litwin i swinia w je-
dnej sferze chodzi!..

— Ja myślę, że ty dzisiaj przynajmniej, prędzej odemnie zapiszesz się do towarzystwa tych nieskromnych stworzeń — zwłaszcza, jak jeszcze kilka kieliszków wypijesz, odparł tryumfująco zagadnięty.

— No, no, tylko przeciw litwinom nie wyjeżdżaj, bo nas tu jest więcej, odezwało się kilka głosów.

— Ale proszę, koledzy, zabrał znowu głos obwiniony. Mówimy ciągle o wolności, o swobodzie, toż się wszystko psu na budę nie zdało, jeżeli w najmniejszej rzeczy okazywać się będziemy deputatami... Ja np. nie mogę pić, toż dlaczego mnie zmuszać — tak się nie robi...

— Brawo, brawo! niech żyją Litwini — zdrowie Litwinów, wołano zewsząd — zdrowie filologa!.. Litwos geros...

— Ażgirdi, pałauk, pogarbiatas!.. Hałas był ogromny, każdy wykrzykiwał jakieś wyrazy po litewsku, które kiedyś przypadkiem zapamiętał, aż nareszcie ten sam, który przed chwilą przymuszał do zjedzenia masła, porwał suchego filologa za ramiona i z całych sił wykrzyknął:

— W górę Litwina!..

Jak na komendę chwycili go wszyscy i przełknięty nieco potomek Jagiełłów, odbył tryumfujący pochód po całej sali na ramionach kolegów.

A niech was Bóg ma w swojej opiece, rzekł obcierając pot z czoła, spuszczonego na ziemię. To warjaty, jak mi Bóg miły...

Całe towarzystwo wpadało coraz bardziej w stan anarchiczny. Zaprowadzenie jakiegokolwiek porządku, było fizycznym niepodobieństwem.

— Zdrowie Mićkiewicza! Więc pili wszyscy zdrowie Mićkiewicza.

— Zdrowie Słowackiego! I pili wszyscy zdrowie Słowackiego.

— Zdrowie Krasińskiego! Tu powstały opozycje.

— Ja nie piję zdrowia Krasińskiego.

— Ja także.

— I ja także.

— I ja nie — posypały się zewsząd protestacje.

— Dlaczego, krzyknął ktoś jeszcze głośnie.

— To arystokrata, pan.

— Ale kocha Polskę, nie nawiądzi moskali.

— To nasz wieszcz w każdym razie, zawołał Perytus, który w każdym wierszu wypiętnował męki Polski, zbrał się z nieszczęściem całego narodu, kochał go nad wszystko, to poeta wielki, któremu cały świat skroń dębowym wieńcem otoczy... Nie, panowie, zapędziliście się za daleko, to się nie godzi.

— Owszem ja wnoszę toast na cześć Krasińskiego... Niech żyje autor Przedświtu!

— Niech żyje autor Przedświtu, zawtorowali wszyscy, zapominając początkowych protestacji. Spełniono toast. Stuknięcie o stół, oznajmiło, że kieliszki do dna wypróżnione. Gromada pustych butelek pod piecem, jak trupy żołnierzy na poboju, świadczyła że żartów nie robiono...

— Gospodarzu dawaj wina, bo w gardle sucho...

— Przepraszam, ekskuzował się gospodarz, wina już nie ma, ale oto nasz poncz akademicki na stole. — Proszę gospodarować, jak kto może, tak będzie

najwygodniej każdemu. Dalej do roboty!., Wszyscy zaczęli czerpać poncz szklankami z ogromnej wazy.

— Dobry napitek, zauważył ktoś z pod okna, jakby korzystając z chwilowego uciszenia się.

— Diabelnie idzie do głowy — zrobiono uwagę z kanapy.

— Przyjdzie on do nóg odpowiedziano od stołu.

— Żeby jeszcze gdzie indziej nie przyszedł — zakończono z ziemi...

(D. n.)



Ubiory polskie z końca XVII. a początku XVIII. wieku.

Więzienie w Tobolsku

(Urywek z pamiętników zbiega.)

Naprzeciw ujścia Tobołu do Irtyszu, na prawym brzegu tej ostatniej rzeki, leży miasto Tobolsk.

Niepospolity obraz surowej i wspaniałej zarazem dzikości przedstawia widok tego miasta dla przybywających z zachodu.

Z wysokiej skały, stromo do rzeki spadającej, jedna połowa jego despotycznie panuje rozległej i dzikiej okolicy, moczar i lasów i o wiorst już kilkanaście więzi oko ogromnymi budynkami rządowymi i wieżami kilkunastu cerkwi — podczas gdy druga u stóp tamtej leżąca, pokornie się tuląc do skały i z poziomych po największej części domków się składając, maleje i znika niejako przy okazałości i dumie możnej swej siostry.

Groźną się wydaje ta część miasta na skale.

Rzekłbyś, że uronione despotą słowo, wystrzeliwszy w ogromne te

ze srogą powagą jak car na kamiennym swym tronie siedząc, obojętnie przyjmuje te hołdy, jak gdyby od wieków mu się należały.

Z razu powaga ta surowa i buta bezwzględna z jednej a uniżająca pokora i do zaparcia siebie samego posunięta służbistość z drugiej strony, budzą w umyśle świeżego widza rodzaj mimowolnego przestachu i podziwu; przypatrzysz się jednak bliżej temu dla swojej sprzeczności godnemu uwagi obrazowi i nadawszy w wyobraźni rysom jego pojedynczym życie, uczucia pierwotne zmieniają się w pogardę i litość,

Cała historia założenia Tobolska, choćbyś jej nawet nie znał, stanie ci po drobnostkowym tym przeglądzie przed oczy, i wytłumaczysz sobie dlaczego twierdza ta, czy rodzaj zamku obronnego — co wisi ze skały po nad pokornym padolem, temuż i całej okolicy panuje.

Jeżeli zaś cokolwiek znajome ci są dzieje tego miasta zkadinał, to patrząc nań po raz pierwszy w życiu mimowolnie odezwiesz się w te słowa:

„Tobolsk, dumny i butny bo przekonani ci byli, co go budo-



Więzienie w Tobolsku.

zabudowania, co wiankiem dziewiczych lasów otoczone, wyglądają jakby twierdza graniczna w ziemi krańców, jakbyzamek jaki zaczerpnięty wśród niezamieszkałej okolicy: postrach i zgrozę w około siebie siejącej, skamieniało na tych głazach i zrosło się z niemi.

Wzrok swój sępi, podobny do wzroku zbrojcy, który go założył i któremu nie zważając na zbrodnie popełnione pomnik wystawiono. zatapia „górną“ Tobolsk daleko w lasy i dziką swą pięknnością świeci z wysokości swej na przestrzeń kilkunastowiorstową.

„Padół“ — czyli niższa część miasta, jak biedny niewolnik usiadł u stóp swego pana, co dumnie i butno rysuje się na ciemnym tle borów odwiecznych, i łzawo spoglądając mu w oczy, zda się wyczekiwać rozkazów jego.

Rozległe doliny lewego brzegu Irtyszu i obszerny step wzdłuż Tobołu się ciągnący pokornie stopom jego hołdować się zdają, a on

wali, iż tak będzie mocnym swoim położeniem i oddaleniem od reszty świata, że żaden obcy zdobywca nie pokusi się oń i nie przybędzie w dzikie te ustronia szukać sobie zguby i zniszczenia. Wznosząc te mury, oni wiedzieli, że nieopodal na wschód, na tych zarosłych krzewami pagórkach, pod gruzami świątyni pogańskich, których z po za gestwiny już i nie widać, spoczywają tysiące, co na samą wieść o zbliżaniu się ich, przenosząc śmierć nad haniebną niewolę, samobójczą dłonią, sklepienia swych pagód na siebie obruszyły, i przez to jeden pomnik więcej zaginionym swobodom wzniosły.

I niema dziś śpiewaka, coby pieśnią uwiecznił w pamięci ludzkości te spokojne plemiona, co pierwotnie Syberją zamieszkiwały i ojczyznę swą bardziej od matki, a swobodę więcej jak życie kochały, gdy ziemię ich zajęli zaborecy, którzy o Jermarkach tylko śpiewać i im tylko pomniki stawiać zdolni.

Sybirak, przelatując teraz na wiotkich saneczkach zakutany w dachę mimo gruzów tych świątyń, które gródkami Czuti nazywa i do których najdziwniejsze przywiązuje powieści, silnie potraça lejcami stepowego swego bieguna i stara się jak można rychlej ominąć te miejsca, co strachem go zawsze napawają. W domu jednak czując się bezpiecznym, i jakby chąc zemścić się za ten strach mimowolny, którym niby wyrzutem sumienia gródki owe zawsze go nabawiają, z gorzkim sarkazmem wspomina on każdą razą o niepojętych dla siebie czynach tych plemion, i miasto dziwić się im, lub żałować, nazywa je pogardliwym przewiskiem psów niewiernych. Car w jego mniemaniu, przymusiwszy je jednym postrachem tylko, do takiego ogólnego samobójstwa, dokonał czynu bohaterkiego.

Hardy Sybirak, hardy i Tobolsk z tego, że się ochrzcił we krwi niewinnej milionów, nikomu przedtem spokoju nie mącających, i że potrafili do tego stopnia zagładzić naród z powierzchni ziemi, iż dziś po trzech wiekach dopiero, prócz kilku niejasnych podań, już i pamięć o nim zaginęła.

Drzemiące lasy tylko szumem wysokich modrzewi, smukłych sosen i cedrów dziewiczych, grają zbutwiałym tym kościom ponurą piosnkę wiecznego pokoju, której słuchając i okolica cała i Tobolsk na skale zda się zadrzemały.

Tobolsk nie tak wewnętrzną pięknnością budowy, jak starożytnością i znaczeniem administracyjnym, jest jednym z pierwszych miast Syberji, będąc zarazem miejscem zbornem dla wszystkich wygnańców przed naznaczeniem ich w różne okolice rozległego kraju wygnania. Tędy musi każdy przechodzić, kogo zesłają do Syberji. Osobno ustanowiony urząd, tak nazwany przykaz, trudni się jedynie rozporządzeniami wygnańców dotyczącemi.

Średnia roczna ilość przechodzących przez Tobolsk wygnańców dochodzi do okragłej liczby 10000. W latach 1863, 1864, i 1865, w których z nieszczęsnej Polski tylu wypędzono Polaków, że ta sama ilość była wywieziona z drugiego jakiego kraju dostatecznym byłoby powodem do wojny europejskiej, liczba ta dochodziła, a nawet przewyższała 100,000.

Skupianie tylu ludzi uwięzionych w jedno miejsce, którzy czasami dwa i trzy tygodnie oczekiwać muszą rozporządzeń przykazu, wywołało potrzebę odpowiedniego pomieszczenia. To też więzienie Tobolskie jedno tylko było wstanie sprostać takiemu zadaniu jako największe w całej Rosji — a zważywszy, że Rosja posiada największe więzienia ze wszystkich krajów, można rzecz śmiało, iż ono jest największem na całym świecie.

Przeplłynawszy promem Irtysz i przeszedłszy cwiérćmilową równinę widocznie będącą dawnym korytem rzeki, co w tem miejscu teraz wielkie tworzy kolano, dochodzi się do dolnej części miasta, co, jak wyżej rzekliśmy, leży u stóp skalistego brzegu, służącego za siedzibę górnej rządowej części. Poziome, drewniane, rzadko stojące i w szerokie ulice, co jesienią błotem, a latem pyłem odrażają, ustawione domki nie bardzo przyjemne na przechodnia wywierają wrażenie. Ni wzroku tu nic nie ubawi, ni uczucia nic nie podniesie. Miasto z początku zda się jakby wymarłe — i gdyby nie dym dobywający się z po pod tarcie, któremi domy tu pokryte, rzekłbyś, że rząd tych chat, co przed tobą strzała pomyka, niezamieszkały.

Gdzieniedzie tylko powita cię w ojcowskiej czapce i butach u wrót stojący chłopak ze zdziwioną i gapowatą miną, lub zaskrzypi wózek dwukołowy z beczką wody, którą tu dla braku studzien aż z Irtyszu wozić muszą. Bliżej ku skale dopiero ta część miasta przybiera nieco urozmaicony i więcej życiem udarowany widok. Na szerokich drewnianych chodnikach, ciągnących się z obu stron ulicy, napotkasz przechodniów spieszących na rynek lub też idących ztamtąd; domy widzisz tu już większe, lecz rażące bardziej pstrokacizną niezliczonych swych okiennic, tu i owdzie po nad nie, jak olbrzym wśród karłów, wznosi się murowany piątrowy budynek jakiego zamożniejszego kupca, albo wystrzela dzwonicą i kopułą jakiej cerkwi. Uszu twoich doleci tu już częściej ulubione moskiewskie łajanie.

U samego podnóża skały, pod znamienitą cerkwią biskupią, co razem z dawniejszą twierdzą całemu panuje padołowi i do której niedawno sporządzone drewniane schody prowadzą, droga skręca się popod skałę w prawo, i idąc równoległe z niewysokim murem twierdzy, wiedzie ślimakiem po nie bardzo w tem miejscu spadzistym skłonie do górnej części Tobolska.

Tuż przy drodze naprzeciw twierdzy na samym szczycie pagórka wznosi się pomnik Jermaka, wśród nowozalożonego ogrodu spacerowego. Nie należy brać jednak tej nazwy dosłownie — miano ogrodu spacerowego w Tobolsku przypadło niewielkiej przestrzeni ziemi około pomnika, częścią na pagórku, częścią na skłonie tegoż leżącej, prostą poręczą ogrodzonej i w wygracowane ścieżki porzniętej. Wszystkie te ścieżki niby w środku schodzą się u żelaznych sztachet pomnika, a o drzewach, klombach, kwiatach i innych własnościach, znamionujących ogrody i mowy tu nie ma. Władze Tobolskie, za których rozkazem to miejsce, jak i sam pomnik, powstało, kazały go nazywać narodnoje gulanje t. j. narodowym ogrodem spacerowym; dlatego więc być może, iż ma być narodowym, a zatem uzmysłowiać niejako, myśl, którą by rząd pragnął widzieć żyjącą w narodzie, jest on tak gołym, tak bez gustu i tak jednostajno - nudnym — urzędowo - formalnym; jak moskiewski muzyk obleczony w carski uniform.

Pomnik sam mógłby być prędzej wszystkim innem aniżeli pomnikiem. Jest to prosty słup murowany, na murowanej z cegieł podstawie; mający u szczytu spiżową, wyłacaną kulę. Prózno byś szukał napisu objaśniającego na jaką pamiątkę on wzniesiony. Pisać kto stawia podobnego rodzaju pomniki nie ma zwyczaju w Rosji — gdyż tem prócz rządu nikt inny trudnić się nie śmie. Patrząc zatem na ten goły, czysto wybielony słup, mający przedstawiać dowód wdzięczności narodu, mimowolnie przychodzi ci myśl do głowy, iż się wstydzili ci, co go tu stawiali, powiedzieć komu są wdzięczni.

Idąc więc koło pomnika na pagórek, wyjdiesz na taras skalistym brzegiem Irtyszu utworzony. Ogromny plac, cisnąc się do brzegu, co na padół zapada, otaczają półkołem wspomniane już zabudowania rządowe, a u zachodniego jego kraju, nad samą przepaścią stromo do Irtyszu spadającą, piętrzą się mury więzienia.

Te to zabudowania, kilka nadto cerkwi i nie wielka jeszcze ilość domów, każdy z osobna prawie stojących, tworzą górną część Tobolska. Przy okazałości zewnętrznej jednak i gromadnej wielkości zabudowań administracyjnych, którym nawet cerkwie co do budowy są podrzędnymi, niskie i gdzieś do północnego krańca tarasu, aż po pod las, co z tamtej strony taras otacza, oparte domki pojedynczych właścicieli nikną i gubią się, do tego stopnia, iż zaledwie po dwu lub trzykrotnem obejrzeniu się spostrzedz je można.

Kto był raz w Tobolsku i widział górną część jego, ten niechybnie będzie mógł zdać sprawę gdzie stoją zabudowania rządowe; nie powie on jednak jakim jest położenie domów prywatnych; — w żadnym bowiem z większych miast moskiewskich istniejący porządek rzeczy tak dobitnie się nie wyraził w budownictwie, jak właśnie w Tobolsku — i nigdzie jawniej nie dopatrzysz zniknięcia pojedynczej jednostki przed władzą centralną tak wyraźnie upostaciowanego jak tutaj. Zasady caratu, gdybyś ich nawet nie znał, możesz słowo po słowie prawie odczytać na zewnętrznej fizjonomji tego miasta, a cisza, co w tej części daleko więcej, jak na „padole“, da się uczuć, objaśni cię, iż wszystko tu zamilkło w obec groźnego głosu absolutyzmu.

Jeśli groźnym wydaje się widok Tobolska dla pierwszy raz doń przybywającego, to daleko groźniejszym wyda mu się jego więzienie. Od niepamiętnych czasów zamek więzienny Tobolski słynie między więźniami jako ojciec wszystkich zamków moskiewskich podobnego rodzaju. Nazwa ta zanadto wymownem jest świadectwem jego mocy i wielkości, by się tu o nich wiele rozpisywać.

Z za wysokich i szarych od starości murów, co dla tem większej mocy u dołu szerzej jak u góry są zbudowane i czworokąt najmniej kilkanaście tysięcy sążni kwadratowych obejmujący tworzą,

wyglądają tylko kominy zabudowań wewnętrznych. Wielki wjazd w kilka arkad w ścianie ku tarasowi obróconej umieszczony, przedziela od placu ogromna brona z gęstych sztabów żelaznych w jednym miejscu na kształt bramy się otwierająca. Za broną tą znajduje się strażnica dla tych 80 żołnierzy, co codziennie tu straż zajmują. Nad wjazdem, czy bramą i po nad mury zewnętrzne wznosi się coś na kształt baszty czworokątnej, bardziej jednak do domku podobnej, i panuje tak nad tarasem jak nad całym wnętrzem więzienia. Jest to mieszkanie dozorca i jego kancelarja. „Przezorny car strzeże więźniów swoich jak turek żon, bo i ten ostatni też samo mieszka nad bramą haremu.

(C. d. n.)

WIDZENIE.

Miliony gwiazdek srebrzystych
Błyszczało na jasnym niebie,
Miliony światel przeczystych
Widziałam w około siebie.
Cudownym blaskiem olśniona
Patrzałam oczami duszy,
A myśl ku niebu wzniesiona
Gdy ziemską zaporę kruszy,
I ziemskie swe pęta zrywa
Głębię tajemnic odkrywa.

Z gwiazd co tworzą nowe światy
Jedna była najjaśniejsza,
Jej płomień, — jakby szkarłaty!
Ona była najpiękniejsza.
Jej promienie krzyż tworzyły,
Kształt jasnego serca miała,
Gdy me oczy w nią utkwily
Znak kotwicy wyrażała.

W nią więc wzrok mój zatapiając
Gdy jeszcze jaśniej błysnęła,
W jej świetle przyszłość badając
Szybkim lotem myśl sunęła.
A Boska iskra natchnienia
Co z tej jasnej gwiazdy przysła
Odrzuciła myśl zwątpienia
Źródłem świętej wiary trysła!
I siłą tego widzenia
Wierzę w gwiazdę przeznaczenia.

F.

ROZMAITOŚCI.

— **Aerolity.** W zeszłym tygodniu dzienniki polskie i zagraniczne z różnych stron przyniosły nam wiadomość o niezwykłej świetności meteorze, widzialnym w przebiegu swoim na wielu punktach Europy — Meteor ten widzialny i u nas, jak już wiemy spadł około Pułtuską w Królestwie Polskiem — a z okoliczności tej profesor szkoły głównej Jerzy Alexandrowicz zamieszcza w Tygodniku Warszawskim następujący opis:

Aerolity, inaczej *bolidy*, składają się zwykle z masy mineralnej, bezkształtnej; pokryte są z wierzchu jak gdyby rodzajem kory czarnej, już matowej, już lśniącej; w rozłamie masa ta przedstawia się matową, barwy szarej, mniej

więcej ciemnej, rzadko jednostajnej, najczęściej bowiem jest żyłkową albo rozmaicie nakrapianą. Budowa jej ziarnista; czasami ziarna zdają się być stopione i ściśle spojone, w innych razach słabo połączone i łatwo rozdzielać się dające. Rzeczona mineralna masa jest mieszaniną różnych ciał, pomiędzy którymi bardzo często napotykaną bywa żelazo. W bolidach znajdowano niekiedy krzestalki pyroxenu i labradorytu. Rozbiór chemiczny aerolitów okazuje, że do ich składu najczęściej, bo prawie trzecia część na wagę, wchodzi krzemionki, po niej idzie żelazo, które czasami stanowi drugą trzecią część i wchodzi już w stanie tleniku; gliną, magnezją, wapno, tlenik manganu, nikiel, już to w stanie metalicznym, już w postaci tleniku, chrom, siarka, soda, potaż, miedź i niekiedy węgiel.

Do bolidów zaliczają także znajduwane niekiedy masy mineralne, składające się z samego rodzimego żelaza, które zowią zwykle *żelazem meteorycznym*.

Początek bolidów dotychczas nie jest jeszcze należycie objaśniony, hipotezy zaś co do ich pochodzenia są następujące:

1) Jedni przypuszczają, że bolidy są produktami ziemskich wulkanów; lecz to nie zdaje się być prawdopodobnem, z dwóch względów: najprzód z powodu, że skład lawy i zwyczajnych bomb wulkanicznych jakie wulkany ziemskie w czasie wybuchów zwykły wyrzucać; bardzo jest odmienny od składu bolidów — a powtóre że trudno przypuścić, aby wyrzucona z wulkanu w górę bomba, mogła tak daleko od wulkanu biec w kierunku poziomym, jak naprzykład ta nasza ostatnia.

2) Drudzy utrzymują, że bolidy są ciałami wyrzucanymi z wulkanów księżycy i twierdzą, że gdy bomba z wulkanu księżycowego zostanie wyrzuconą z siłą pięć razy większą od siły rzucającej pocisk kuli armatniej, wtedy bomba ta przebiega granicę przyciągania księżycowego i wkracza w sferę atrakcji kuli ziemskiej, w skutek czego spaść musi na ziemię. Opór zaś atmosfery którą ona przeciąga, coraz bardziej tę bombę czyli bolidą rozgrzewa, i dla tego tak rześcicie świeci i w końcu detonując pęka. Ta hipoteza od poprzedzającej zdaje się być prawdopodobniejszą.

3) Trzeci przypuszczają, że bolidy powstają ze zgęszczenia materij lotnych pływających w atmosferze, tak jak powstaje w niej śnieg i grad z pary wodnej. Trudno wszakże pogodzić się z tą hipotezą, z uwagi na naturę ciężkich ciał do składu bolidów wchodzących.

4) Nakoniec, według zdania wielu nowoczesnych uczonych, bolidy mają powstawać w dalekiej od ziemi przestrzeni, za zgęszczenia materij eterycznej, tej samej która daje początek nebulozom, nowym słońcom, gwiazdom, kometom, planetom i ich satelitom. Otóż bolidy, a również i tak zwane gwiazdy spadające, które poczytują się za odmianę bolidów, zostając w ruchu, przebiegają przestrzeń po drogach dla siebie oznaczonych, z których czasami zbaczają i spadają na powierzchnię ziemi.

Ta ostatnia hipoteza obecnie najczęściej liczy zwolenników.

— **Śpiewaczka polska w Carogrodzie.** Gazeta „Il Comerico Orientale“ podaje ciekawy artykuł o znanej warszawskiej śpiewaczce p. Friderici (Jakovickiej) która od 15. października występuje w operze włoskiej w Konstantynopolu — Ciekawy on sam z siebie nie tylko dla tego, że nam donosi o powodzeniu polki, ale i dla tego, że nam daje wyobrażenie o pewnych zwyczajach stambulskiej publiczności, jej tylko właściwych, czysto miejscowych.

W artykule tym czytamy następujące szczegóły: „W dniu 25. stycznia r. b. w teatrze Naum odbył się beneficj naszemu primadonny soprano w operze włoskiej, p. Teodozji Friderici. Przedewszystkiem winszujemy dystyngowanej artystce wyboru programu, którego skromnością upewniła nas o rzeczywistej zasłudze i dobrym guście publiczności. Program ten składał się z całej opery „Marty“, wykonanej przez beneficjantkę ze zwykłym urokiem i talentem, z krótkiego baletu i fantazji odegranej na skrzypcach przez panią Ferni, która z grzeczności pospieszyla przyczynić się do upiększenia i urozmaicenia wieczoru swej towarzyski. „Marta“ od początku do końca była jedną owocną nieustanną, a publiczność, która nader licznie zapełniła miejsca, nie męczyła się ciąglem wywoływaniem i nieprzerwaniami pełnemi zapału oklaskami dzielnej p. Friderici, która widocznie tem wzruszona, dziękowała z takim dystyngowanym wdziękiem, jakiego ona zdaje się mieć jedyną tajemnicę. Kiedy cała scena przepelniona została stósmi wieńców i kwiatów, towarzysze jej widocznie uradowani być się zdawali z tych oznak honorów, co nie mały przynosi jej zaszczyt, iż umiała zasługą zyskać tu sympatją wszystkich, albowiem nasza diva obok talentu, łączy w sobie przymioty rzadkie na deskach scenicznych. Zauważyliśmy z największą przyjemnością, że już po raz drugi w tym sezonie znaczna liczba krzeseł i foteli była zajęta przez damy wyższego towarzystwa, a ta uprzejmość naszej płci pięknej, okazana p. Friderici, zapewne wiele jej pocholebiała. Oprócz mnóstwa bukietów i wieńców z rozlicznymi szarfami, znakomita artystka otrzymała kosztowne podarunki, a dla większego jeszcze jej uczczenia, puszczone były z łoż na kolorowych wstążkach, cztery bieluchne jak śnieg gołąbki, które nalatawszy się po sali, upadły u nóg Marty, na której cześć jednocześnie z różnych miejsc spadały jak rześisty deszcz sonety i epigrafy. Nadto p. Friderici, jako hołd swego talentu otrzymała portret swój litografowany, wykonany z gustem artystycznym przez pana Montani. Portret ten w znacznej liczbie egzemplarzy w tym samym czasie rozdawany był po łożach.

— **Rysunek.** Pierwotnie, rysunek stanowił zapewne tylko postać wyrażoną linjami. Jest bowiem wzmianka w dziejach greckich, bez wyrażenia daty faktu, że jakiś Arduis i Telefon do rysunku dotąd ograniczającego się na liniach, czyli tak zwanych obecnie konturze, wprowadzili cieniowanie celem nadania wypukłości swym figurom. Podobno Klenofont z Koryntu pierwszy wpadł na pomysł kolorowania rysunków, dodając do czarnej używanej do konturów, barwy czerwonej naśladowującej koloryt ciała ludzkiego. Starożytni bowiem oddawali się prawie wyłącznie wyobrażaniu postaci, człowieka, jako tworu najdoskonalszego w przyrodzeniu.

Zanim od rysunku doszło się do malarstwa, zapewne dużo czasu upłynęło. Pierwsze obrazy były malowane na drzewie lub metalowych tablicach np. miedzianych. Ale Neron pewnego razu zażądał mieć swój wizerunek na 120 stóp wysoki; malarz więc nie mógł użyć na ten cel ani desek ani tablic metalowych, a znając donośność żądania i z konieczności dumając nad niezbędną potrzebą zadość uczynienia takowemu, wpadł na myśl użycia na ten cel płótna. Dopiero na schyłku drugiej połowy XIV wieku, Jan Van Eyck zwany Janem z Brugii wynalazł pokost i sposób malowania olejno.

Otóż widzimy, że rysunek bezwzględny z postępem czasu stał się nauką zasadniczą malarstwa — bo bez rysunku malarstwa nie ma; sztuki tej bowiem nie tworzą płótno i farby, ale rysunek nakreślony na niem i uwydatniony barwami właściwymi.

Podobnież w rzeźbie, sztuki nie stanowi bronz ni marmur, z których postacie bywają tworzone, bo to są materiały, tylko, niby cegły użyte w architekturze do wzniesienia gmachu, którego postać także leży w rysunku nie w materiałach.

Rysunek, jako nauka zasadnicza w sztukach pięknych, ma przy sobie orszak nauk posilkowych, które z nim całość tej stanowią, jako to: anatomję, fizjonomikę, ekspresję, etnografję, historję, archeologję, obie perspektywy, a w końcu naturę.

Nauczenie się takiego rysunku jest rzeczą artystów z powołania, lub amatorów władających odpowiednimi środkami i czasem.

Rysunek jednakże w naszych czasach przybrał inne znaczenie. Nauki, odkrycia, wynalazki, podróże — w samych opisach traciły wiele; były to słowa którym brakło gestów. Ilustracje temu brakowi za pomocą drzeworytów zaradziły. Drzeworyt zaś jest rysunkiem ręcznym powtórzonym do nieskończoności.

Otóż rysunek wyswobodzony z krainy sztuk pięknych, wyzwolony z potrzeby wyjawiania się czem innym jak samym sobą, podnosi się do godności

kunsztu samoistnego. W takim rozumieniu jest on tłumaczem myśli, przedstawicielem rzeczy nielatwych do opisania i oddalonych i zbliża pismo do potęgi ustnego wykładu. Kiedy książka mówi o tem co jest, rysunek pokazuje jak jest. Uczeń i artyści obiegając świat przenoszą na papier wizerunki nieznanych stron, ich mieszkańców, natury, zabytków, pomników — a wizerunki te powtórzone drzeworytami, stają się własnością ogółu, rozweselają serce, zajmują i bogacą umysł — i ten wielki piękny świat ludziom przykutym do miejsca obowiązkami lub okolicznością, stawia przed oczy jak w latarni czarnoksiężkiej.

— **Moda** jest dziedziną kobiet, w której one wszechwładnie panują; nie ma więc nic dziwnego, że w tem państwie zmiany są nieustanne.

Kobiety lubią mody, jak mężczyźni broń — jest to narzędzie podboju; jego ważność znają one o tyle, że w późnym nawet wieku jeszcze go porzucić nie chcą.

Moda stanowi dla kobiet, we wszystkich klassach społeczeństwa, niewyczerpany przedmiot rozmowy w gruncie częściej zupełnie. Moda jednak budzi myślenie w tych kobietach, które myśleć nie umieją. Kobiety gdy idzie o modę, rozważają i myślą: nie natenczas nie ujdzie ich uwagi. Te, które są tutaj wyjątkiem, co są od dzieciństwa przywykłe do zajmowania się nauką lub sztuką i oddają się z zamiłowaniem swemu przedmiotowi: i te nawet, w pośród prac najpoważniejszych, jeszcze oglądają się, aby uchwycić w przelocie modę panującą — jest to namiętność uspioła, ale nie wygasła.

Mnogość mód jest powodem, że prędko przechodzą, a gdy przejdą, dziwnie się dla czego były tak upodobane.

Ciekawa byłaby historja mody, któraby w swym wykładzie wtajemniczyła nas w przyczyny licznych zmian, jakim one ulegają. Bo gdzie szukać źródła tego przemijającego gustu, tej fantazji coraz nowszej?...

Francuzi w modach celują, oni je wymyślają; inne narody, mają tylko kłopot naśladownictwu towarzyszący, Blanqui uważa, że ta epidemja, to wściekle szaleństwo, z dniem każdym powiększa się nauką; obliczył on, że corocznie w Paryżu wyrabiają czepków i kapeluszy za 5 milionów franków, gorsetów za 1 miljon, kwiatów sztucznych za 2 miliony, wachlarzy za 1 miljon. Lecz ponieważ to obliczenie robił przed dwudziestu laty, a moda jak sam przyznaje wzrasta w swej potędze i niepomiarowanie się rozpowszechnia, zatem śmiało można na czas obecny, jeszcze o drugie tyle summy te powiększyć.

Świątynie mody w najpierwszych stolicach, odznaczają się blaskiem i kwintem, a swoich agentów wysyłają na wszystkie strony świata: mają swoje filje w Cuenos-Aires, w Valpariso, na Syberji, w Kalifornji i w Kalkucie.

GWIAZDKA.

Pieśń tronowa — nucona na głos łabędzi.

O Gwiazdeczko, coś błyszczała
Przez ośmnaście lat,
Czemuż to mi gwiazdko mała,
Twój promyczek zbladł.

Czemuż mi już tak nie płonie,
Jak za owych dni
Gdy wolano w każdym gronie:
„Vive l'Empereur“ mi.

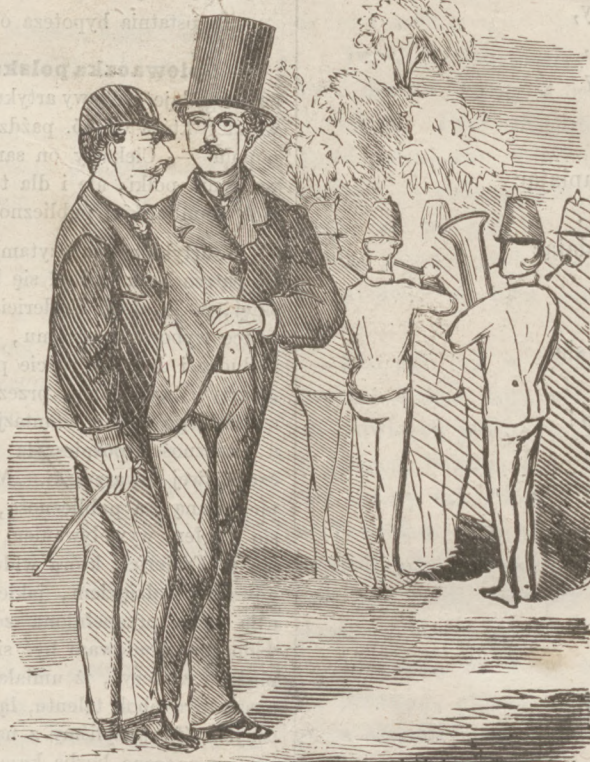
Prędkoś, prędkoś, skro niebiańska,
Zeglowała ty;
Sprawy: rzymska, meksykańska,
Me rozwiały sny.

Żartkoś biegła wśród niebiosów,...
Próżnoś dumiał wciąż,
Zem Europy panem losów,
Pierwszy stanu mąż.

Dzisiaj pierzchła mgła mistyczna,
Tych ułudzeń rój,
I przewaga polityczna,
Którą kraj miał mój.

Wszystkie moje dzisiaj plany
Jeden gromi cios:
Ach to ten nie ublagany
Opozycji głos.

O gwiazdeczko, dawne życie
W tym promyczku wznieć,
W politycznym dla mnie świecie
Tak jak dawniej świeć.



Wiesz co Guciu, ta arja wcale dobra i bardzo mi się podoba. — Zawiąż no ją proszę cię na węzłku, że-
bym jej nie zapomniał.

Niech choć jedną jeszcze dobie
Dni zażyje tych,
Nim mnie Francja „puści w trąbę“,
Tak jak przodków mych.

Wyjątek z księgi rodzaju Rady Niemysłańskiej.

Hrabia zrodził pisarza, przed licznymi laty
Z pisarczyka wzrósł dziedzic, butny—bo bogaty,
Dziedzic rządząc wypłodził, rządca ekonomą,
I dwóch hrabskich dzierżawców tamten z obydwoma.
Żydem dycha ekonom, więc spłodził Dawida,
Rządca zaś słodziutkiego handlarza—nie żyda,
Słodki handlarz wypłodził świeżego sąsiada
I tak autoramentem hrabskim wzrosła Rada.—
A przybrawszy kowala, Niemca, olejkarza,
Rada pańszczyznianego rodzi sekretarza,
Rozwinąwszy swe żagle na hrabskiej korabi,
Trzykroć czule westchnęła najsamprzód do hrabi.
A gdy rządca trefiony od stolicy skinie,
Rada krzyknąć gotowa trzykroć „Hoch“ hrabinie,
Rada czuła dla wszelkiej hrabiowskiej czeladzi,
Kredenczerza w Kurulskim krzeselku posadzi.—
Rzeknie dziedzic niedawny: „My powagę mamy,
Niechaj sobie co zechcą mruzcą mudie, chamy!“
Na to handlarz słodziutki: „Brawo mój kolego!
Wszystko schwyć w garść naszą, zbawim kraj
[od zlego!“—

Poklonili się sobie, brawo sobie dali
I do domu! — pozostał dym cygaret w sali.—
Pierwszej życia poznaki historja nie długa,
Zobaczymy niebawem jaka będzie druga.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

Dr. Karol Libelt (z portretem) przez Widmana. — Chwila z życia akademików polskich w Petersburgu, przez Dzikowskiego. — Więzienie w Tobolsku. Urywek z pamiętników zbiega (z ryciną). — Ubiory staropolskie (rycina). — Widzenie przez F. — Rozmaitości. — Humoreski (z ryciną).